

# TYGODNIK ILLUSTRACYJNY



№ 136.

Prenumerata w Warszawie:  
Rocznie rsr. 8, półrocznie rsr. 4, kwartalnie rsr. 2  
miesięcznie kop. 67 i pół.

Warszawa, 3 maja 1862 r.

Prenumerata na prowincyi i w Cesarstwie:  
Rocznie rsr. 12, półrocznie rsr. 6, kwartalnie rsr. 3.  
Koperta oddzielna 2 rsr. rocznie.

TOM V.

## TREŚĆ NUMERU.

Konstanty hr. Tyzenhauz (z drzeworytem). — Kronika tygodniowa. — Obrazy z Czarnogórze i jego pobrzeży (z czterema drzeworytami) ciąg dalszy. — Ostatni szkielet Boruty. — Korrespondencya od redakcyi. — Korrespondencya Tygodnika Ilustrowanego. — Tablica erekcyjna w Chotlu Czerwonym (z drzeworytem). — Szachy i rebus.

### Konstanty hr. Tyzenhauz.

Osobną jakby hierarchią stanowią w znacznych księgozbiorach te wspaniałe do historii naturalnej dzieła, które nietylko opisują przedmiot, ale i wierny jego wizerunek przedstawiają. Są to więc poważne księgi, których objętość składają niekiedy same prawie ryciny, naturalnymi ożywione farbami; zbytek, lecz nie oburzający, bo nie ten który czeza duma lub nierozumna swawola wymyśla, ale zbytek obudzający podziw i poszanowanie, bo ten na który wysiła się sztuka niosąca pomoc umiejętności. Pyszne tego rodzaju dzieła dopiero w XVIII wieku ukazywać się zaczęły, a myśl ich wydawania mogła tylko powstać w krajach bogatych i wykonaną być przez naród w którym kwitnęła sztuka i dla którego potrzeba było doskonalenie umiejętności.

Pierwszych wysilen w tej mierze dali przykład Holendrzy, nim dozwolili odebrać sobie palmę wyższości Anglikom, którzy dziś najzbytówniejsze do historii naturalnej dzieła wydają. W ślady tych dwóch narodów skwapliwie wstępował oszczędni Niemcy; nie rzekli się prawa do zasług pod tym względem i Włosi, ale przedewszystkiem Francuzi, przydawszy do sztuki wytworność, stanęli na najwyższym szczeblu sławy z wydawaniem ikonograficznych dzieł do historii naturalnej.

Nasza literatura w XVIII wieku miała tylko dzieła Kluka objaśnione rycinami, które ubogi proboszcz ciechanowiecki, nie ucząc się nigdzie sztycharstwa ani rysunku, prostą jedynie ciekawością i dobrą chęcią wiedziony, rył na wiarę jak były na złych tablicach niemieckich wyryte, a krajowy ziemianin, kupiwszy jego książkę, z tą samą mocą wrażenia dziwił się tryumfowi amatorskiego ryłca, co i cudowności dzieł przyrodzenia. Nasze też Stanisława Augusta czasy, tak przyjazne sztukom pięknym, nie wydały nic znakomitego dla umiejętności, a zwłaszcza dla historii naturalnej. Pierwszy dopiero Tyzenhauz, wiedziony pobudkami zamiłowanego w swoim przedmiocie zoologa, postanowił i na-

szemu piśmiennictwu dodać świetności, której ono w porównaniu z obcemi wcale nie miało.

Konstanty Tyzenhauz urodził się w Żołudku pod Grodnem dnia 3 czerwca 1786 r., z rodziny która, już od Zygmuntońskich czasów, piastowała u nas wysokie godności. Początkowe nauki odbył w Warszawie; następnie kształcił się w uniwersytecie wileńskim, gdzie pod znakomitemi professorami, a między inne-

świata, pomimo że go do nich wzywały wysokie położenie towarzyskie i wielkie bogactwa.

W r. 1812 wszedł do służby wojskowej, jako dowódca 49 pułku piechoty litewskiej. Losy wielkiej armii Napoleona zaprowadziły go następnie do Sedanu, gdzie go znów widzimy szefem 3 kompanii gwardyi honorowej polskiej, a później już pułkownikiem wojsk księstwa warszawskiego, walczącego mężnie w szeregach księcia Poniatowskiego w pamiętnej trzydniowej bitwie pod Lipskiem.

Z wypraw tych, w których został ozdobiony krzyżem legii honorowej, skoro powrócił na ziemię ojczystą, pałasz i szlify zamienił na książki i pióro. Odtąd cała okolica, cała prowincya, a niedługo i cała Rzeczpospolita uczonych poczęła głościć o Tyzenhauzie, jako o gorliwym i nieustawającym w czynieniu postrzeżeń naturalistcie. Nadewszystko polubił on ornitologią, i tego to przedmiotu zamiłowaniem wiedziony, w pałacu swoim w Postawach utworzył znakomite muzeum ornitologiczne, mieszczące wszystkie krajowe i najokazalsze cudzoziemskie ptaki.\*

Znaczny, oddziedziczony z przodków a dobrą gospodarstwem pomnożony majątek, podawał mu środki na ciągle powiększanie tego zbioru, na utrzymanie go z całą szcudroblnością i hojnością; na sprowadzanie dzieł kosztownych, jakich szczególnie ornitologiczna literatura liczy niemało, na odbywanie tak przez siebie jak i przez swoich wysłańców w różne strony naukowych podróży. Szczere i całkowite oddanie się temu wszystkiemu, sprawiło że Tyzenhauz dosyć późno wziął się do pisania i wydawania dzieł które mu zawdzięczamy.

Gabinet ornitologiczny Tyzenhauza, nie był ową galerją przeznaczoną na powiększenie okazałości pałacu; była to raczej pracownia w której mistrz, poświęcony nauce, ciągle przesiadywał, porządkował, porównywał, sprawdzał, słowem badał, i nigdy z sali tej nie wyszedł niedotknięty nowym promieniem światła, którego tak usilnie w postrzeganiu natury szukał „Tyzenhauz (mówi to jeden z jego biografów)



KONSTANTY HR. TYZENHAUZ. (Rysował z litografii Polkowski).

mi Jundziłtem, przejął się zamiłowaniem nauk przyrodzonych, nadewszystko zaś historii naturalnej. Miłości tej do zgonu był wiernym; wszystkie chwile życia jej poświęcał, unikając zgielku i zabaw wielkiego

(\* Wiadomo że wkrótce po zgonie Tyzenhauza, jego szacowny i wspaniony gabinet ornitologiczny przewieziony został z Postaw do Wilna i oddany w opiekę tamecznemu towarzystwu archeologicznemu.

nie przestawał na prostej zasłudze umiejętnego i niezmiernie dowanego zbieracza. Obdarzony nadzwyczajną pamięcią, umysłem bystrym i badawczym, zawsze umiał pochwycić i zastosować na korzyść ulubionej nauki odkrycia, które mu nastęrczały jego wycieczki i sportsterminowania mnóstwa znajdujących przedmiotów, objaśniania natrafianych w nich wątpliwości, tudzież oceniania wartości naukowej, jaką przywiązywali do nich uczeni Europy, pod sąd których poddawał swoje badania.

Drobniejsze prace Tyzenhauza rozproszone są po różnych pismach, osobliwie wydawanych periodycznie. Od takich swój pisarski zawód rozpoczął. Dopiero w r. 1844 wyszły jego *Zasady ornitologii albo nauki o ptakach, obejmujące rys postępu jej literatury, taxonomię, glossologię i terminologię*, in 8vo, w Wilnie u Józefa Zawadzkiego. Po tej książce, którą Junzdillowi, jako swojemu niegdyś nauczycielowi, przypisał, nastąpiła mniej jeszcze w literaturze naszej spodziewana, jego *Ornitologia powszechna, czyli opisanie ptaków wszystkich części świata*, we 3 tomach in 8vo (r. 1842, 1844 i 1846), w Wilnie u Teofila Glücksberga wydana. Każdy tom tego dzieła przyozdobiony jest ryciną naczelną kolorowaną, przedstawiającą osobliwszego albo rzadszego z opisywanych w nim ptaka. Wizerunki te wykonywał sam Tyzenhauz, który sztukę rysowania i kolorowania przedmiotów natury w wysokim stopniu posiadał.

Miał Tyzenhauz chwalebny zamiar wydania znakomitego dzieła o ptakach krajowych, z obszernymi ich opisami i jaknajwierniejszymi wizerunkami. Wykonanie tego zamiaru rozpoczął przygotowaniem tablic z wizerunkami jaj ptaków krajowych, kolorowanymi z natury, podług okazów jakie jego zbiór oologiczny obejmował. Tablice te dał rycić na miedzi i kolorować w Paryżu, pod okiem znanego taceznego naturalisty, p. Guérin Méneville. Cieszył się oglądaniem już większej części tego przedsięwzięcia podług jego myśli wykonanego, gdy d. 16 marca 1853 r. w Postawach śmierć go zaskoczyła. Syn zmarłego, dopełniając woli ojca, nie tylko że resztę pozostałych tablic u tych samych artystów w Paryżu wykonał, ale nadto zobowiązał biegłego ornitologa naszego, p. Taczanowskiego, do napisania tekstu objaśniającego tablice. Powstało tym sposobem dzieło, nie tylko pod względem nauki ważne, ale i jedno z najodborniejszych w bibliografii naszej; stanowi je dosyć znacznej objętości książka polska, przez p. Taczanowskiego napisana (a która niedługo i we francuskim przekładzie ma się ukazać), i należąca do niej atlas, pośmiertne dzieło Tyzenhauza, złożony ze 172 tablic kolorowanych, na których mieszczą się w systematycznym porządku wizerunki jaj wszystkich krajowych ptaków. (\*\*)

Tyzenhauz był członkiem różnych towarzystw uczonych, tak krajowych jako i zagranicznych, a każdemu starał się zasłużyć to udzieleniem nowego postrzeżenia, to nadesłaniem zażądanych sprawozdań w przedmiocie historii naturalnej. Obszerniejszą wiadomość o jego życiu i naukowych zasługach, skreślił w języku francuskim były profesor uniwersytetu wileńskiego Adamowicz i umieścił w *Buletynie ces. Towarzystwa naturalistów moskiewskiego* (1853, Nr. 4). Wiadomość tę skróconą czytaliśmy w *Gazecie Warszawskiej* na r. 1853, a całkowity jej polski przekład ogłosił p. Gustaw Belke w *Bibliotece Warszawskiej* na r. 1853, tom IV listopad. Życiorys napisany przez prof. Adamowicza po francuzku, znajduje się także w piśmie periodycznym wychodzącym w Paryżu pod tytułem *Revue et Magasin de zoologie, par M. F. E. Guérin Méneville*, 1857, Nr. 12, przyczem dołączony jest wierny portret Tyzenhauza, z którego skopiowano załączony tu drzeworyt. Antoni Waga.

## Kronika tygodniowa.

Z obowiązku należałoby coś napisać o maju; ale tyle się już pisało o tej wiosnie, o kwiatach, o zielenieniu... Że na polach pachnie, że tam świeżość, że zboża wybujały nadspodziewanie, że rozwijająca się natura napelnia powietrze balsamiczną wonią,—co nam z tego?—nam, którzy zmuszeni jesteśmy siedzieć na bruku warszawskim, połykać kurz uliczny, patrzeć na nowo tynkujące się i malujące domy, co chwila przechodzić pod jakimś rusztowaniem zawalającym chodnik i gorące ale niezbyt skuteczne wznosić westchnie.

(\*\*) Dzieło to, pod tytułem *Oologia ptaków polskich*, w zeszłym jeszcze roku wydrukowane w Warszawie, dla odległości osób rozporządzających jego wydaniem, a ztąd trudności w znoszeniu się z niemi, nie mogło być dotychczas w księgarńowy obieg wypuszczonem.

nia o poprawienie kanalizacji miasta naszego, która prawie jeszcze spoczywa w błogim stanie i zakresie przed-pięćdziesięcioletnim.

Są w Warszawie takie miejsca, przez które ażeby przejść bezpiecznie, potrzeba chyba zostawić w domu nos, jako bezużyteczne a nawet szkodliwe bardzo narzędzie. I co gorsza, najczęściej się to zdarza na najbardziej uczęszczanych ulicach. Potrzeboby nader wytrawnego chemika, żeby oznaczył wszystkie gazy wydobywające się z Bóg wie jakich pierwiastków tam nagromadzonych. „Warszawa może mieć wiele przymiotów, mówił mi jeden cudzoziemiec przebywający tu w lecie, ale ma wielką wadę: nie pachnie.“ Cudzoziemiec ów miał słusność. I to właśnie w chwili odżywiania się natury spada na nas najsrożej ta egipska plaga.

A wodociągi? zapyta kto. Bardzo pięknie są murywane, odpowiemy na to, ale ponieważ większa daleko jest obfitość wody zepsutej w kanałach, aniżeli zdrowej w wodociągach, wypadek z tego wodnego współzawodnictwa niewielką zapewnia nam korzyść.

Na niektórych ulicach spadek tak źle jest urządzone, że w rynsztokach wieczne prawie stoją kałuże, jakby w bagnach pontyjskich. Szczerze powiadam wam: nie można Warszawy przyrównać do bukietu wonnych kwiatów!... I jakże tu prawie o majowych przyjemnościach tym, którzy tylko odwrotną znaj ich stronę?

W nowo budujących się domach jedno ważne widzimy ulepszenie: właściciele ich zwracają uwagę na coraz więcej czuć się dającą potrzebę średnich lokali, i plany świeżo wznoszących się budowli stosują do tego. Dobra to myśl. W Warszawie średnie lokale, najwięcej poszukiwane, znajdują się stosunkowo w małej liczbie i najbardziej podniesione są w cenie. Łatwiej o wielki lokal albo zupełnie mały, aniżeli o średni. Tych jednak lokatorów, którzy mogą tysiącami rubli płacić za komorne, coraz jest mniej; w miarę zaś tego zmniejszenia, powiększa się coraz bardziej liczba żądań średnich lokali. Najłatwiejszym na to zarządzeniem byłby stosowny rozdział mieszkań, a wypadłoby to z korzyścią i właściciela i lokatorów.

Jeden z miejscowych naszych korespondentów zwraca jeszcze uwagę na inną niedogodność: na wywieszonych kartach nigdzie prawie niema zamieszczonej ceny lokalu; a jednak byłoby to bardzo użyteczne. Wiadomo że cena lokali jest nader względna. Taż sama liczba pokoiów może kosztować 4500 i 3000 złp. Szukający mieszkania przeznacza na nie zwykle pewną sumę, do której bardzo niewiele dodać już może. Jakżeby więc dogodnym było dla niego, gdyby z góry wiedział o cenie lokalu. Oszczędziłoby mu to zmuśnej lataniny po piętach, a lokatorom wyprzedzającym się kłopotliwych odwiedzin, nieraz kilka razy na dzień powtarzających się. Przecież wstydzić się niema co, że lokal taki a taki kosztuje tyle a tyle. W niektórych domach zaprowadzono już to udogodnienie, a nawet zrobiono więcej, bo wywieszono plany mieszkań do najęcia.

Dobry to pomysł i wart naśladowania.

Tenże sam korespondent opowiada nam wypadek jaki mu się wydarzył przy szukaniu mieszkania. W trakcie tej peregrynacji, mówi on, natrafiłem w jednym domu na osobliwą drużynę, składającą się z kobiety w podeszłym wieku i pięciu piesków. Gdym otworzył drzwi, powitało mnie znięcała pięć przeraźliwych głosów, a po przejściu progę cała ta rodzina (!) obstała mnie tak natarczywie, pytając o cel mojego przybycia, że mój język w gębie zapomniał, i myślałem tylko o zabezpieczeniu niższej części mego ubrania od zamachu tych dziwnego rodzaju lokatorów. Zaledwie w kwadrans pani domu, zaspo-koiwszy swoich wychowańców, poprosiła mnie dalej do pokoju i bardzo grzecznie oprowadziła po mieszkaniu mającym być wynajętym.

W trakcie tej wędrowki zasypał mnie grad pytań: „A wiele osób tu ma mieszkać? A co pan robi? A wiele pan ma dzieci? A żona czy młoda? i t. d.“ Gdy na to wszystko o ile możliwości kategorycznie i krótko odpowiedziałem, pani ta, wywdzięczając się, zaczęła mi czynić własne zwierzenia.

Dowiedziałem się więc że jest wdową, bezdzietną, że ma około 6000 złp. dochodu rocznego, że ledwie wyżyc z tego może w obecnym czasie drożyny, bo jej Delfin i Zółcia od dwóch miesięcy słabują, że codziennie przychodzi weterynarz, że musiała im nowe materace kazać robić, że teraz derki polecono im nosić (tu nastąpiła ekshibicya rzeczonych derek), że kuśnierz fajdak zgodził się po złp. 50 od jednej, a później zażądał po złp. 60.

— A pan wiele masz piesków? zapytała dalej.

— Ja pani, odpowiedziałem, mam dwoje dzieci; psów lubię, ale tylko na łańcuchach i do polowania, takich zaś delikatnych nie zniósłbym i żałowałbym

na nie tych pieniędzy, które pani dobrodziejka wy-daje.

— Alboż to wiele, kochany panie? Wszak mnie więcej nie kosztują rocznie jak około 2000 złp., a jakoś to miło, nie mając nikogo do siebie przywiązanego, posiadać te pocziwe stworzenia, które mnie tak kochają, które mnie tak rozumieją!

— Pani łaskawa, odrzekłem, pozwól sobie powiedzieć, że jakkolwiek samotność jej potrzebuje roz-weselenia, to przecież wybór jest nienajszczęśliwszy. W mojem przekonaniu, gdybyś pani wzięła do siebie jaką sierotę, wychowywała, kształciła ją, czyżby ona wtedy nie widziała w pani matki, opiekunki? Przy-więzałaby się ona do pani więcej niż te psiaki, wię-ciej wdzięczności doznałabyś pani od niej, a w końcu spełniłabyś święty obowiązek, dając pomoc nieszczę-śliwemu.

— A cóż pan myśli? Przecież dla sierot są ochro-ny, jest dobroczynność; wszyscy na nie dajemy, a je-szcze do domu mamy przyjmować? A to pięknie! Gdy-by tak postępować jak pan mówi, potrzeboby chyba wszystkie ochrony dla sierot pokasować a założyć ochrony dla piesków; bo gdzieby się podziały te bię-dne stworzenia?!...

Te pięć piesków, dodaje nasz korespondent, no-szą czapraczki, spencerki, licho wie jakie okrywki, stosownie do pory roku, a pani ich zżyma się ze złości, że ktoś jej każe zajmować się sierotami. Policz-my tylko ile kosztują w Warszawie te rozpieszczone gagatki pań naszych? Naprawdę można powiedzieć że psy niejednemu ubogiemu uszczuplają strawy i wspar-cia. Nie mam nic przeciwko trzymaniu psów po do-mach, ale niechże zachowują swoje psie stanowisko, niechaj właściciele i właścicielki nie dają im guwer-nerów, którzyby ich prowadzili na różowych wstąż-kach po ulicy.

Wspomnieliśmy o guwernerach; ztąd pochop do wy-rzeczenia kilku słów o tych ważnych posadach, tak płocho rozdawanych u nas. W Warszawie w tej chwili istnieje kilka kantorów stręczeń guwernerów i guwer-nantek, a wszystkie obfitują w zamówienia. Naśladować odezwanie się Aleksandra do Dyogenesa, rzekł raz do mnie pewien bankier:

— Gdybym nie był bankierem, chciałbym zostać guwernantką.

Rzeczywiście, zyskowna a niekłopotliwa to posada. Guwernantki tutaj sprowadzane dzielą się na dwa rodzaje:

1. Tak zwane guwernantki właściwe (gouvernantes), które zaledwie czytać i pisać umieją, i to czytać bar-dzo nie płynnie, a pisać nieortograficznie. Są takie któ-re umieją czytać tylko, a i to przy skutecznej pomo-cy sztuki półgłosowego syllabizowania, w pisanie zaś nie wdają się wcale. Są jeszcze takie, i tych zdaje się nie najmniej, które ani czytać, ani pisać nie umie-ją, co chwila błędzą w wymowie, rządzie słów, po-łączeniach, używają wyrażen gminnych, nie tylko nie salonowych, ale i nie pokojowych; lecz za to, na po-zytek powierzonym sobie dzieciom a pociechę rodzio-com, znają dokładnie pewną stronę życia paryżkiego, która u wielu za najpowabniejszą uchodzi. Emerytki te przyjechały do Warszawy odpocząć po laurach i zbierać pieniądze w głupiej Polsce, kiedy już w mądrym Paryżu trudno wyżyć bez pracy. W najszcze-śliwszym wypadku były one tam zwykłymi służące-mi, garderobiankami, młodszymi albo kucharkami. Na-zwa guwernantki pokrywa to wszystko. I takim to kobietom matki nasze powierzają władzę bezwarun-kową nad młodem pokoleniem! Pod tym zarządem, przy tych wzorach, dzieci zamożniejszych polskich ro-dzin pierwsze stawiają kroki! Guwernantkom takim płaci się od tysiąca do dwóch tysięcy złotych na rok; są to najtańsze ceny tu praktykowane.

2. Drugi rodzaj stanowią tak zwane nauczycielki (institutrices). Są to także guwernantki francuzkie, ale umiejące już trochę więcej; czytają i piszą niezle, chociaż także niezawsze ortograficznie; posiadają przy-tém trochę wiadomości z historii Francji i umieją czas-em brzdąkać na fortepianie, albo robić na papierze plastry czerwone, białe i zielone, które mają ucho-dzić za kwiaty, wykonywane według nowej metody malarskiej. Zdarzy się nawet że jedna lub druga po-trafi wykładać początki włoskiego języka; ale takie są już nieocenione i wyrwywają je sobie. Nie wyklucza to wcale, że taka *institutrice* pali błędy gramma-tyczne w ojczystym swoim języku aż miło, i sam wi-działem list jednej słynącej za bardzo uczoną, list z trzema żarzącymi błędami językowymi. Owóż takie panie pobierają od dwóch tysięcy do pięciu tysięcy złotych i więcej nawet. Mają one zastąpić całą pierwiastkową edukacją panienki, i tylko na dokoń-czenie potem przyjmuje się profesorów. Ale jakżeż ci profesorowie mają dokończyć rzeczy co niezacze-ta wcale, albo co gorsza, źle zaczęta.

Opis ten wcale nie jest przesadzony. Zaręczam że mania bogatszych oddawania dzieci pod nadzór i kierunek obcych przybłędów, którzy dlatego tu tylko przychodzą, że u siebie nie mogą znaleźć przytułku, wcale nie ustala. Po części jest w tym i racja. Niechaj maskę francuskiego języka wdziewają na siebie ci, których obce są rodzinie uczucia. Mniejszy grzech dla Polaka, jeżeli jest głupim po francuzku; przynajmniej nie potrzebują się za niego wstydić ci, co go nie rozumieją albo rozumieć nie chcą.

O dziwnym wypadku donoszą nam w korespondencji. U pewnego majątnego bardzo właściciela ziemskiego zachodnich gubernij, znajdował się młody człowiek, rządca dóbr czy kommissarz, który posiadał zaufanie zupełne swojego pryncypala. I zasługiwał na nie ze wszech względów, był to bowiem człowiek zdolny, pracowity, znający doskonale swą rzecz, a przede wszystkim odznaczający się nieskazitelną sumiennością. Często też miał sobie powierzone znaczne bardzo summy, któremi rozporządzał bez żadnej prawie kontroli.

Ołóż przed niedawnym czasem wiózł on do miasta kilkadziesiąt tysięcy rubli, pochodzące ze znacznej sprzedaży jaką świeżo uskutečnił. A jechał bryczką odkrytą, jak to jest u nas we zwyczajach, chociaż Francuzi i Niemcy śmieją się z tego naszego lubownictwa świeżego powietrza. Z nim razem jechał służący i woźnica. Pieniądze zamknięte były w tece, która spoczywała na kolanach młodego plenipotenty. Noc była ciemna, droga błotnista. Podróżni znajdowali się już od trzdziestu kilku godzin w drodze, nieprzezwyciężona więc potrzeba snu czuć się dawała. Lokaj drzemał na kozle, woźnica także puścił na instykt konie, przechylając się na prawo i na lewo, jak to bywa w tym niewygodnym śnie bryczkowym, którego zapewne nienajeden z was czytelnicy doświadczają. Młody człowiek opierał się długo znużeniu, ale nareszcie, nie wiedząc sam o tym, usnął. Silne stuknięcie o kamień obudziło wszystkich. Za przebudzeniem się pierwszą myślą plenipotenty było pomazać czy pieniądze są na miejscu. Ale wystawcie sobie prerażenie jego: teki nie było. Widocznie podczas snu zsunęła się ona z kolan, potem z pod fartucha i spadła na drogę.

Ale gdzie spadła, w tym sęk? Jak tu szukać po nocy, w błocie i po takiej przestrzeni? Nie było jednak rady, musiano wziąć się do poszukiwania. Bryczka stanęła, woźnica został przy koniach, a pan ze służącym wysiedli, i zapalili latarkę, którą na szczęście wzięli z sobą, zaczęli szukać we dwóch po przebieżonej drodze, czolgając się na kolanach w błocie i przeglądając każdy dołek, każdą kałużę. Tak w przeciągu czterech do pięciu godzin przeszli przez dwie lub trzy wiorsty, i już, widząc nadaremność swoich poszukiwań, zaczęli myśleć o powrocie do bryczki, gdy służący spostrzegł jakiś przedmiot ciemny z boku drogi. Plenipotent pobiął natychmiast na wskazane miejsce i znalazł tekę nietkniętą, leżącą tak jak wypadła z bryczki. Młody człowiek pochwycił ją, przycisnął silnie do siebie i w tej chwili padł na wznak. Gdy służący przybiegł do niego ażeby go ratować, już nie żył. Silne wzruszenie zabiło go.

A teraz jeszcze jeden fakt, ale innego zupełnie rodzaju.

Stróż kamieniczny, dawny żołnierz, miał siedmioletniego synka. Dziecko było sprytnie i pojętne bardzo, a nade wszystko okazywało wielką chęć do nauki, chociaż środków na udzielanie mu jej nie starczyło. Ale w tym domu mieszkali bogaci państwo. Widzieli oni parę razy tego chłopca, podobał się im i zażądali od ojca, żeby pozwolił wywieźć go na wieś, dla towarzystwa paniczów i zarazem dla wspólnej nauki.

Było to błogosławieństwo Boże dla biednego stróża, który nieaz przemyślał jakimby sposobem dziecko swoje wykiepować na *porządnego człowieka*. A nie bierzcie tego koniecznie w znaczeniu państwa, bo nauka nawet w najniższym rzędzie jest potrzebna. Widząc tedy sposobność ku temu spadającą z nieba na ukochanego jedynaka, stróż podziękował Bogu i dobrodziejom swoim, i nie bez żalu i łez, ale z przekonaniem że dopełnia świętego obowiązku, rozłączył się z dzieckiem.

Wystawcie sobie zdziwienie i boleść poczciwca, gdy po trzech latach jedynak jego wraca, odarty, obszarpany, w lachmanach jak żebrak. Ale boleść jego podwoiła się, kiedy się dowiedział jaką była ta nauka na którą go posłał. Dziecko obrócono z początku do służby pokojowej na żokeja, w małpiarskim, jaskrawym ubiorze, a gdy chłopak do tych angielsko-mońdnych zatrudnień okazał się niezdatnym, zapędzono go do bydła i musiał je pasać przez trzy lata, nie innego nie robiąc. Taką była filantropia tych państwa, taką drogę uznali za najwłaściwszą do wykształcenia młodego ubogiego chłopca. Chciano sobie tanim kosz-

tem nabyć małą pokojową, a gdy to się nie udało, i pastuch bezpłatny przydał się na coś. Jeżeli ten postępek nie może być wzorem, to przynajmniej jako przykład go podajemy.

Nakładem Gebethnera i Wolfa wyszły „Powiastki dla ludu“ Kontrymowicza, dziełko tanie i użyteczne, a ozdobione drzeworytami, które w wydaniach ludowych zawsze są wielką zachętą dla czytających. Księgarz Lewiński wydał także w tych czasach „Powiastki historyczne polskie“ i powiastkę ludową pod tytułem: „Kubuś sierotka“ przez Franka z Wielkopolski. Za zasługę poczytujemy wydawcom naszym to krzątanie się około dziełek użytecznych niższej klasie i młodemu wiekowi; wydań tych nigdy nie będzie za wiele, w miarę coraz bardziej rozszerzających się potrzeb.

Oddawna ucichło jakoś u nas o bardzo użytecznym wydawnictwie, które jednak nieprzerwanie idzie swoją drogą i zaprzecza złowrogim wróżbom jakie z góry już o niem rozpuszczono. Chcemy tu mówić o *Encyklopedyi polszeszechniej* S. Orgelbranda. Trudno wyobrazić sobie nie już koszt, ale trudności jakie napotykali wydawca i komitet zarządzający, w doprowadzeniu do skutku u nas tak olbrzymiego przedsięwzięcia. Piérwszą trudność następczą współpracownicy. Do starannego opracowania ważnych pojedynczych artykułów w Encyklopedyi, potrzeba ludzi specjalnych, a ci nie rodzą się sami z siebie, jak pieczarki po deszczu. Zdawało się więc że niepodobna prawie zebrać ludzi, którzyby potrafili odpowiedzieć trudności zadania. Ale doświadczenie przekonało o mylności tego przypuszczenia. Specjalne oryginalne artykuły obrobione są w naszej Encyklopedyi z wielką starannością i dokładnością, którychby nie powstydziło się żadne tego rodzaju wydawnictwo zagraniczne. Zwłaszcza krajowa część historyczna przedstawia nam szereg prac źródłowych, na których śmiało nowi pracownicy oprzeć się mogą i powoływać się na nie. Wszystkie artykuły, nietylko dotyczące rzeczy czysto polskich, ale ogólnosłowiańskich, nader starannie są zebrane. Niemalą też zasługę przysługują artykulom filozoficznym. W ogóle wydawnictwo Encyklopedyi, im dalej postępuje, tem dzielniej rozwija nowe i niespodziewane zasoby, tem silniej pozwala wierzyć, że możemy już oprzeć się na własnych siłach i ufać sobie w najpoważniejszych nawet przedsięwzięciach naukowych. Niemalą to powinno być zachętą i podjętą do pracy dalszej.

Z powodu podniesionej przez nas kwestyi preferansowej, otrzymaliśmy kilka reklamacyj. Chcąc raz z niemi skończyć, oświadczamy reklamującym, że uważamy karty jako środek zabicia czasu, ale nie jako sposób spożytkowania go. Smutno to że u nas nieraz czas trzeba zabijać; ale nie idzie za tem żeby chwalić środki ku temu użyte.

Podobnie odebraliśmy w tych dniach kilka listów protestujących z różnych stron królestwa, z powodu wzmianki jaką uczyniliśmy niedawno w kronice tygodniowej o pewnym obywatelu *jednej z sąsiednich nam gubernij*, który wyrestaurowawszy w swym majątku starą kaplicę, zwabił do niej w niedzielę na nabożeństwo okolicznych włościan, następnie zamawiał ich do roboty i dawał im zaliczenia pieniężne, które oni potem trwonili na pijatykę we własnej jego karczmie, gdzie niby od niechcenia rażna przygrywała muzyka. Artykuł ten widocznie wzięli do siebie tacy obywatele, co może przypadkowo w swoich dobrach naprawili kaplicę, założyli szkołkę i t. p. Oświadczamy przeto że miejscowość o której mowa nie leży nawet w obrębie dzisiejszego królestwa polskiego, i dlatego napisaliśmy wyraźnie: *w jednej z sąsiednich nam gubernij*.

Cóż mamy odpowiedzieć korespondentowi B\*\*\*, który skarży się na modę szkółek wiejskich i manię ich protegowania? Daj nam Boże jaknajwięcej takich manij, bo one są dzwigniami społeczeństw. Lepsza jedna ochronka w Irkucku, niż dziesięć resurs w miastach gubernialnych. Fakt przytoczony przez korespondenta ciekawy i zrobimy z niego później użytek.

Pamiętamy legendę o budowaniu jednego z najznakomitszych kościołów niemieckich. Książę budował pałac, a biskup kościół; książę miał kufry pełne złota i srebra, licznych wazalów gotowych nieść mu swe mienie na ofiarę; u biskupa zaś chudo było w kalecie, dochody nie dopisywały, a nieraz nawet na zwykajne wydatki około chwały Bożej brakło. I książę i biskup wezwali architektów i rozkazali podać plany. Ale plan domu Bożego mającego się wznieść przez biskupa, stokrotnie przepychem i kosztem przewyższał pałac jaki książę przeznaczył na pomieszczenie swojej wielkości.

I kiedy pokazali sobie nawzajem plany, wielkie nastąpiło zdziwienie księcia.

— A z kąd się wezmą pieniądze? zapytał, poracho-

wawszy naprędce ogromne summy jakie wzniesienie tak pysznego gmachu kosztować będzie.

— Z serca ludzi dobrej woli, odpowiedział biskup. I rzeczywiście, kościół prędzej stanął od pałacu, chociaż budowa jego bez grosza się rozpoczęła.

Przytoczyliśmy tę legendę jako przykład i naukę zgromadzeniu zakonnemu, które dotąd się waha z koniecznym prawie przybudowaniem nowej kaplicy w świątyni pańskiej, lękając się braku funduszy na tę budowę. Fundusze się znajdują, boć ludzie dobrej woli nie wymarli jeszcze.

A że nie wymarli, dam wam świeży przykład.

Oto niedawno złożoną została przez pana P\*\* spora ofiara, bo 30,000 złp., na zbudowanie kościoła, w miejscu gdzie brak takowego dawał się uczuć.

Jest to miejsce urodzenia tego szanownego obywatela, który obecnie posiada znaczny majątek, a przed kilkudziesięciu laty wyszedł z tamąd licząc lat 13 wieku, z sześcioma złotemi w kieszeni, które były całym jego majątkiem.

Bóg mu dopomógł, i dzisiaj składa on Bogu dzięcię z jego darów.

Dawno nie wspominaliśmy już o wystawie sztuk pięknych. Przez ten czas przybyło tam jednak kilka pięknych obrazów, z których śmierć Czarnieckiego nie mała budzi ciekawość. Nie miejsce tu oceniać artystyczną wartość obrazu; musimy jednak oddać sprawiedliwość nader starannemu i dokładnemu obrobieniu szczegółów. Miło nam widzieć artystę w tym wieku, nieustającego w pracy i zamiłowanego sztuki. Pan Suchodolski nie chce zasypiać na dawnych laurach; wzbogaca on wystawę obrazami historycznymi większych rozmiarów, i w tym względzie śmiało go za wzór podać możemy młodszemu pokoleniu artystów. Zasługują także na wspomnienie: portret mężczyzny Simmlera, konie Kossaka, jałmużna Kostrzewskiego, dwa obrazki architektoniczne Gryglewskiego z Krakowa, oraz bardzo ładna główka staruszki, wykonana przez pana Kossowicza, nie wspominając wielu innych drobniejszych rzeczy. Spodziewamy się że w przyszłym miesiącu wystawa wzbogaci się znacznie; przybędą bowiem nietylko obrazy do zakupu przez Towarzystwo przeznaczone, ale i rysunki konkursowe.

## OBRAZY Z CZARNOGÓRZA I JEGO POBRZEŻY.

(Dalszy ciąg).

Czarnogórze i jezioro skadariskie.

We wszystkich opisach Czarnogórze, w różnych językach dotąd ogłoszonych, znajdujemy wspomniane podanie, przez które krajowcy powstanie gór swych objaśniają. Mówi ono, że gdy Bóg, stworzywszy ziemię, chodził po niej, ażeby ubrać ją w góry, które niósł ze sobą w worze, wór ten pękł nad dzisiejszemu Czarnogórzem, i reszta cała skał, jakie jeszcze w nim zostawały, wysypała się na to jedno miejsce. Podanie to, ani poetyczne, ani dowcipne, nie zasługiwałoby zgola na wzmiankę, gdyby nie to, że wybornie charakteryzuje powierzchowność kraju. Gdy w innych krajach górzystych góry przedstawiają zawsze mniej więcej widocznie rozróżnić się dające łańcuchy, poprzecielane biegiem dolin i wód, Czarnogórze zasiane jest niemi we wszystkich kierunkach, bez żadnego ładu. Jest to niby olbrzymi błędnik (labirynt) z gór i skał, ręką kapryśnej przyrody umyślnie stworzony. Niezwykłym tym charakterem odznaczają się także pobliskie hercegowińskie i albańskie góry; ale Czarnogórze, tak pod względem nagromadzenia skalistych wyniosłości, jakoteż ich przepaściowości i ogromu, za serce tego całego systemu uważanem być może.

Jak stromemi są skały czarnogórskie, jak niedostępni ich ścieżki dzikie, jak ciasnemi i krętymi przerynającą ją wąwozy, nad wszystkie opisy wymowniej powiadają dzieje tej krainy: półpięta wieku bojów garstki mężnych z potęgą, przed którą do niedawna drżała Europa cała. Najdzielniejsze męstwo uleźdzy musiało pod wiecznie powracającą lawiną zdobywców, która tyle ościennych pochłonięła królestw, gdyby twierdza przyrodzona, za schronienie mu służąca, mniej niezdobytą wyszła z rąk Boga.

W pośród tych straszliwych skał wapiennych, pełnych grot i przepadlin, a porozdzieranemi kształtami swemi cada naszej doliny ojcowskiej powtarzających, znajdują się porozrzucane mniejsze i większe doliny—niektóre do pół mili szerokie, inne zaledwie kilkanaście wynoszące kroków—których bujna zieloność tem cudnie odbija od otaczających je zewsząd mass nagiego kamienia. Szmaragdowym tym oazom wśród opoczystej pustyni, zbywa przecież po największej części na najmilszej dolin ozdobie—na szmerzącym

biegu wód, wartko wśród murawy płynących. Prócz jednej znaczniejszej rzeki *Moraczy* i kilku pomniejszych rzeczulek, do niej lub do jeziora skadarskiego wzdających, Czarnogórze, a szczególnie zachodnia jego połowa, pozbawione jest zupełnie owiej sieci drobnych strumyków, we wszystkich kierunkach orzeźwienie spragnionej ziemi roznoszących. Miejsce ich zastępują nieużyteczne burzliwe potoki, które po ulewnych deszczach lub w czasie wiosennych roztopów napełniają góry echem swych ryków, i równie gwałtownie jak powstały, niktą w otchłaniach czarnych przepadlin skał.

Taką jest w głównych zarysach powierzchność i przyroda Czarnogórze. Co do pochodzenia nazwy pod którą kraj ten znamy — gdy nagiego wapienne opoki raczej białością pierwotną przegładają z pod szarej powłoki wieków — rozmaici autorowie rozmaite stawiają domysły. Są tacy, którzy mniemają że otrzymała ją dopiero od czasów zapanowania nad nim rodziny Czernojewiczów. Trudno jednakże przypuścić, ażeby tak wielki i szczególną niedostępnością uderzający dział gór, pozostać miał bez nazwy aż do począt-

ków piętnastego wieku, w którym to dopiero czasie Stefan Czernojewicz, pierwszy tego nazwiska, objął rządy tych okolic. Trudniej jeszcze wierzyć, ażeby miano słowiańskie powstać miało z przekładu tureckiej nazwy *kara-dagh*, co dosłownie czarna-góra zna-

dobienstwa ma za sobą, jak zwykle, najprostszwy wykład: że od czarnych lasów sosnowych, pochyłości i brzozych gór okrywających, a od nagości reszty skał imponująco odbijających, najprzód porosłe niemi góry otrzymały nazwę czarnych, następnie zaś taż nazwa na całą okolicę rozszerzoną została.

niu swemu, przez jakiś czas jeszcze wolném było od nacisku Turków i pod udzielnymi książętami swymi wzrastało w ludność i rozległość, wzmocnione napływem jedноплеmieńców z zawojowanych już prowincyj, którzy, nie chcąc ugiąć karku przed zdobywcami, tutaj szukali schronienia.



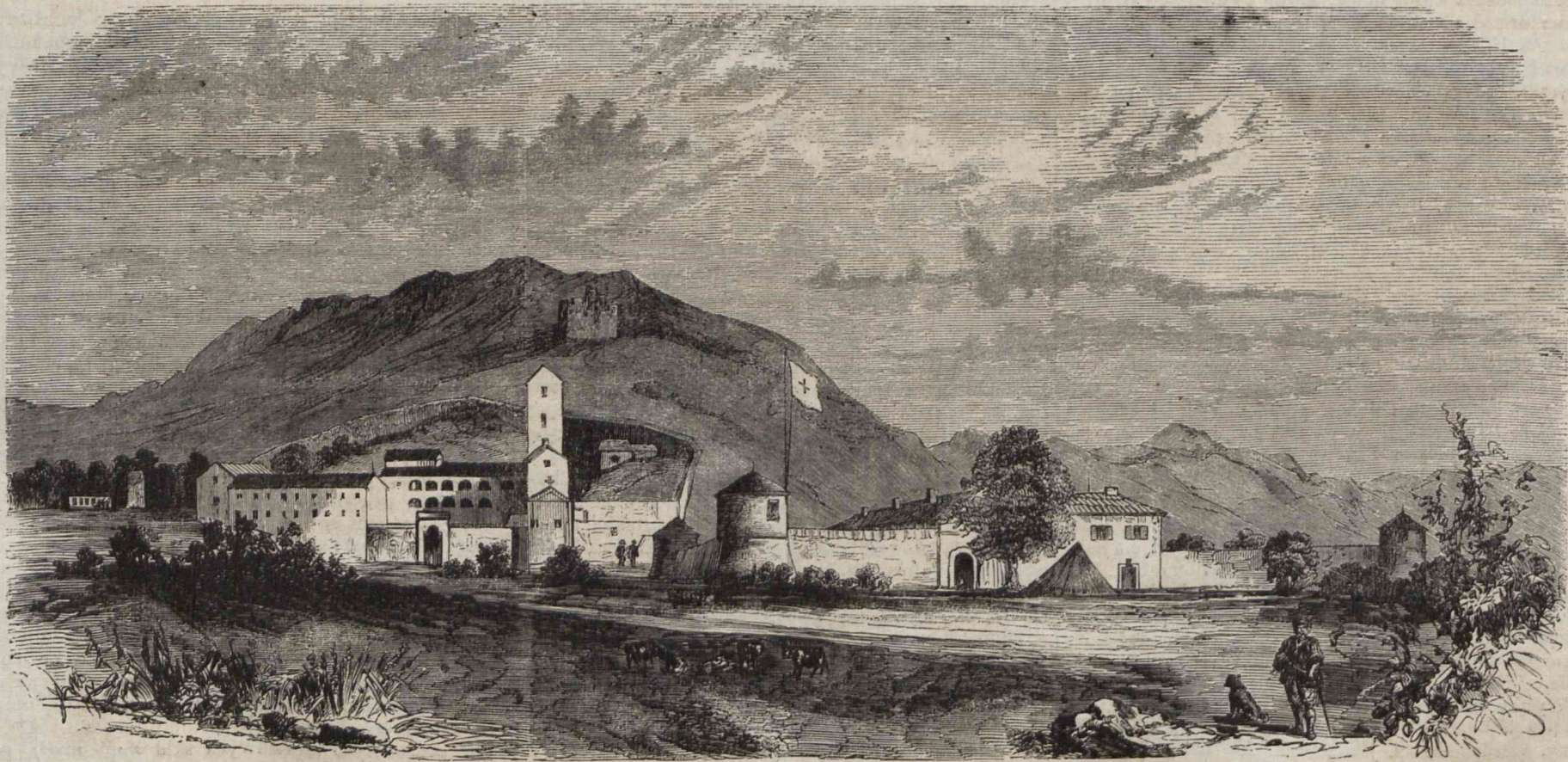
CHATY CZARNOGÓRSKIE.

Interesowniejsem niż badanie źródła nazwy, jest poznanie kolei przez jakie w ciągu kilku wieków przechodziło i obecne swe ukształtowanie wzięło Czarnogórze. W chwili upadku serbskiego carstwa, w 1389 roku, kraik ten wchodził w skład udzielnego księstwa

dłużać ztąd bohaterską z wrogami krzyża i narodu swego walkę.

W 1516 roku książę Jerzy (*Dziuradź*) Czernojewicz, znudzony tą walką bez nadziei i w pół dzikiem życiem w głębi gór, postanowił opuścić rodzinną ziemię i

W roku 1410 Turcy po raz pierwszy uderzyli na terytorium zetskiego księstwa. Pierwszy ten atak, równie jak wiele następných, szczęśliwie wprawdzie odpartemi zostały; mimo to jednak muzułmańscy zdobywcy coraz bliżej i ściślej otaczali żelaznym murem tę ostatnią niepodległości południowych Słowian twierdzą. Książę tracił zwolna obwód po obwodzie, twierdzą po twierdzy, miasto po mieście; aż wreszcie, po usadowieniu się Turków na pobrzeżu adryatyckiego morza i upadku sąsiedniej Albanii, z całego dziedzictwa ojców pozostały im bezpłodne i niedostępne skały Czarnogórze. Głośny w pieśniach serbskich książę Iwan Czernojewicz, utraciwszy około r. 1432, po zaciętej obronie, rezydencją swą Żabliak, nad skadarskim jeziorem, cofnął się z wiernym rycerstwem swym w góry, prze-



KLASZTOR I DWÓR KSIĄŻĘCY W CETYŃJU.

czy. Prawda że nazwanie takie odpowiadałoby zupełnie zwyczajowi Turków, którzy wszystko złe, straszne, wyrazem *kara* (czarny) oznaczają; niepodobna przecież przyjąć, ażeby zamieszkujący od wielu wieków ziemie te Serbowie, dopiero od nieprzyjaciół chrztu dla gór swoich czekali. Najwięcej prawdopo-

Zety, rządzonego przez spokrewnioną z panującą w Serbii dynastją rodziną, i stojącego do Serbii w tym stosunku, w jakim za czasów piastowskich nasze mazowieckie lub szląskie księstwa do korony polskiej stały. Po skruszeniu potęgi serbskiej w bitwie na Kosowem polu, księstwo to, dzięki oddalonemu położe-

przesiedlić się do Włoch, zktąd pojął był znakomitego rodu żonę. Przed odjazdem, w obec całego zgromadzonego ludu, złożył władzę świecką w ręce biskupa Wawila, i odtąd, aż do 1851 r., władza ta przechodziła kolejno z władzyki na władzykę.

W ciągu kilku wieków takowego duchownego na-

czelnicstwa, wykształcili się nowe stosunki Czarnogó-  
rza. Z księstwa, stało się ono tém, czém jedynie być  
mogło, to jest: ostatnim przytułkiem męźnych, nad  
wszystko swobodę mi-  
lujących, i dla zachowania  
jój nielekających się życia  
całego walk i niebezpie-  
czeństw bezustannych.  
Czarnogórze — podobnie  
jak na naszych granicach  
Sicz zaporozska — stało  
otworem każdemu, kto  
chciał się bić przeciw Tur-  
kom. Owszem, pomimo du-  
chownego charakteru na-  
czelnika, nawet wyznawcy  
islam, których żąda  
zemsty lub obawa o wła-  
sne bezpieczeństwo do  
zwrócenia oręża przeciw  
współwyznawcom popy-  
chały, znajdowali w tém  
wielkiem wojowniczym  
bractwie chętnę przyjęcie.  
Tym sposobem znaczna li-  
czba zmuszanych Bo-  
śniaków i Albańczyków  
osiedliła się wśród chrze-  
ściańskich Czarnogórców.  
Muzułmańscy ci towa-  
rzysze przecież niezawsze  
zupełnie wiernymi okazy-  
wali się nowopobudzonej  
sprawie i służyli niekie-  
dy Turkom za zdrady na-  
rządza. To było powodem  
że władca Daniel, który  
o mało jedną ze zrad  
takowych nie padł ofiarą,  
postanowił kraj oczyścić  
zupełnie z niechrześcijań-  
skich mieszkańców. W no-  
cy w wigilię Bożego na-  
rodzenia 1702 roku, chrze-  
ścianie rzucili się na swo-  
ich muzułmańskich współ-  
obywateli i wyrznęli  
wszystkich, prócz tych  
którzy zdołali ratować się  
ucieczką i nieletnich dzie-  
ci, które pochrzczono.

Tenże sam władca Daniel, który tak energicznym  
czynem ubezpieczył od zrad i rozdziałów wewnątrz-

nych Czarnogórze, zamienił wybieralną dotąd godność  
władcy na dziedziczną w swym rodzie. Odtąd wła-  
dza aż do naszych czasów utrzymywała się w rodzi-

to w taki utrzymywało się sposób, że jeden z rodziny,  
od dzieciństwa do stanu duchownego przeznaczony,  
wyswięconym zostawał na biskupa po śmierci po-  
przedniego władcy. Po-  
rządek ten, od półtora  
wieku utrwalony, naru-  
szył dopiero we wspo-  
mnionym roku przeszły,  
niedawno zdradziecko za-  
bity, książę Daniel, który  
nie mając ochoty pozos-  
tać bezżennym, a nie  
chcąc także władzy z rąk  
swych wypuścić, przez pe-  
wien rodzaj zamachu sta-  
nu świeckim księciem  
Czarnogórze się ogłosił,  
brata zaś swego Mirka na  
biskupa wyswięcić rozka-  
zał. Ze taka gwałtowna  
zmiana ustalonej tradycją  
formy rządu nie na dobre  
wyszła Danielowi, widzie-  
liśmy z śmierci, zadanej  
mu ręką jednego z Czarno-  
górców. Czy wyjdzie ona  
na korzyść lub na szkodę  
niepodległości kraju  
i sprawy oswobodzenia tu-  
reckich chrześcijan? to  
wkrótce widziéć da się.  
Tymczasem, pomimo gwał-  
townej śmierci swego  
sprawcy, nowa forma  
świeckiego księstwa utrzy-  
mała się, i władza, za-  
miast przejść na brata ksią-  
żęcego, biskupa Mirka, do-  
stała się w ręce synowca  
jego Nikicy Mirkowicza,  
w jednym z zakładów nau-  
kowych paryżkich wycho-  
wanego.

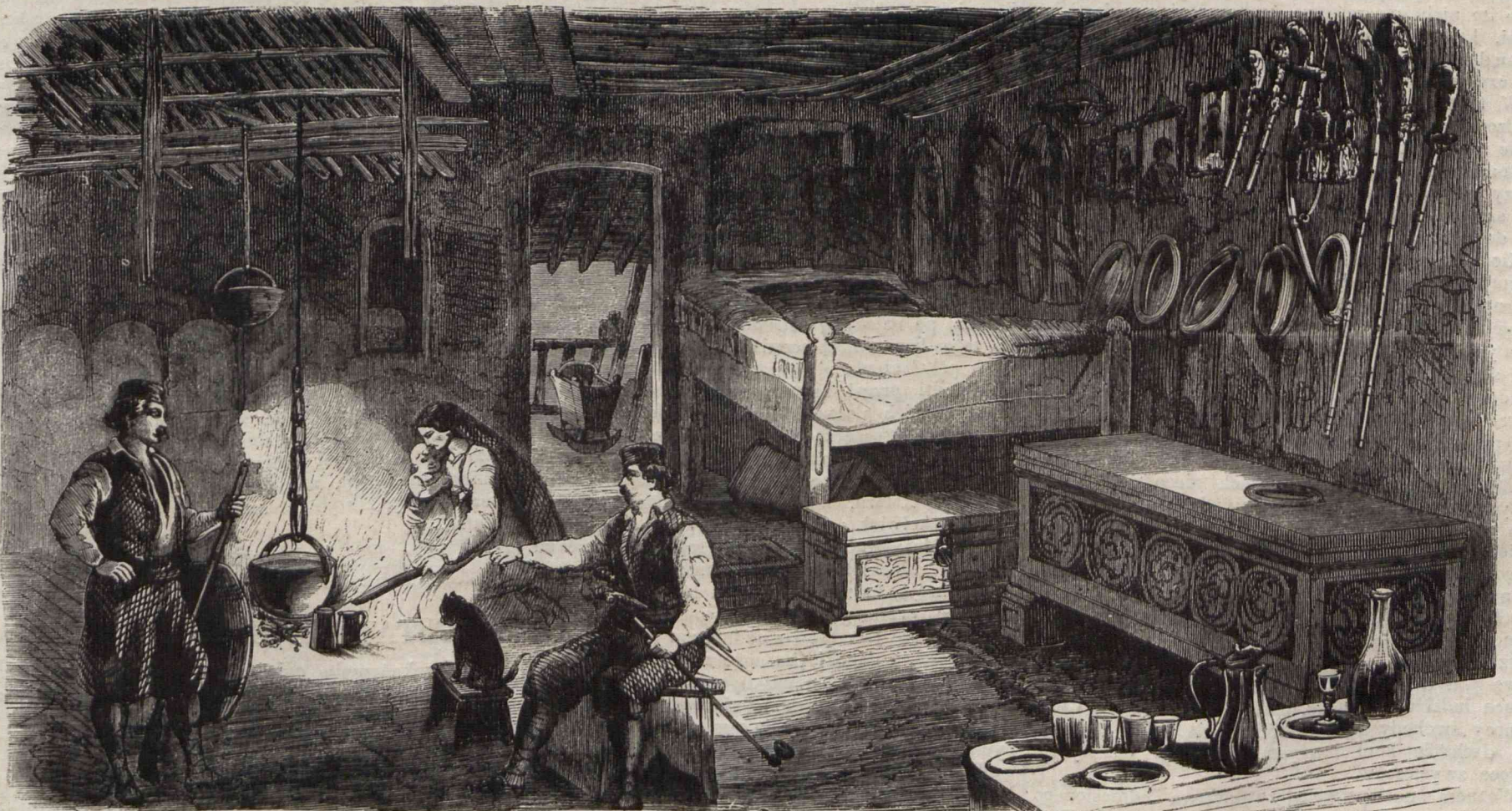
Dzieje Czarnogórze są  
właściwie dziejami je-  
dnego bezustannego boju,  
w różnych ustępach to-  
czącego się od półpięta  
wieku. Miłość własna  
Turków, wyzywana przez

nie Petrowiczów, którzy pochodząc ze wsi Niegosz,  
dla odróżnienia od innych jednako-imiennych familij,  
Petrowicz-Niegosz się piszą. Aż do 1851 r. dziedzictwo

zuchwałą garstkę sztandar niepodległości wysoko  
wznoszącą, podczas gdy tyle możnych królestw i  
księstw leżało w muzułmańskich okowach, równie



UBIORY CZARNOGÓRCÓW.



WNĘTRZE DOMU CZARNOGÓRSKIEGO.

jak interes dokonania dzieła podboju, bez czego okoliczne prowincje nigdy zupełnie uległy rządzić się nie dozwalały, — pchały bezustannie zdobywców ku tym nagim skałom, o które dotąd się roztrąca ich niszcząca powódź. Ze swęj strony Czarnogórcy, gdy się przypadkiem zdarzyło że w własnych nie widzieli się zaatakowanymi siedliskach, nie omieszkiwali działać zaczepnie, bądź to starając się odzyskać jakieś wpiętrw stracone terytoryum, bądź śpiesząc z pomocą zbuntowanym w pobliżu poddanym Wysokiej-Porty, bądź łącząc swe działania z działaniami wojującego z Turcją jakiegos państwa, które zawsze pewne być mogło że znajdzie w nich użytecznych sprzymierzeńców. Smiało więc przyjąć możemy, że Czarnogórcy tyle stoczyli kampanij, ile lat liczą istnienia niepodległego swego kraju. Wiele z tych kampanij, z powodu imponującej liczby nieprzyjaciół, należy do najświetniejszych tryumfów, jakie męztwo nad przemocą odnieść może.

Tak naprzykład w 1742 roku, za panowania Achmeta III, armia złożona z stu tysięcy Turków, pod dowództwem Achmet-paszy, uderzyła na Czarnogórze. Władyka, na czele swoich, przyjął bój z tą zastraszcjąca siłą, pobit ją, zabrał osmdziesiąt sześć sztandarów, i jak opowiadają przesadzone może sprawozdania, położył trupem do czterdziestu tysięcy najeźdźców. W trzy lata później dzielni górale tryumfowali w podobny sposób ze sto-dwudziestu-tysięczną armii, która pod wodzą paszy Duman-Ciuprylicza na zgniczenie ich wysłana była.

W roku 1756 wezyrowie, to jest wielkorządcy, Skadru i Bośni podstąpili na czele osmdziesięciu tysięcy pod Czarnogórze; straciwszy przeciw w ciągu niespełna miesiąca więcej niż połowę wojska, ze wstydem odstąpić musieli.

Niebezpieczniejszym nad inne dla swobody Czarnogórców rokiem był 1768. Z powodu zjawienia się między nimi samozwańca, pod nazwą Stefana Malego (*Stiepan Mali*) w historii znanego, mieszkańcy zostawali podówczas w wewnętrznych waśniach, z czego naturalnie Turcy korzystać chcieli. Trzy armie, razem do stu-dwudziestu tysięcy wynoszące, pod dowództwem wezyrów Bośni, Albanii i Rumelii, otoczywszy kraj z trzech stron, poczęły jednocześnie wstępować w jego granice. Z czwartęj strony Wenecyanie, ówczesni kotorskiego obwodu panowie — którzy, mówiąc nawiasem, licznych przysług od Czarnogórców odebranych niepomni, po wielekroć nie wstydzili się starać o urwanie jakiegos z terytoryum ich części — utrzymywali zamknięcie granicy, zakazawszy pod karą śmierci sprzedaż amunicji walczącym chrześcianom. Pomimo to wszystko Czarnogórcy, którzy zaledwie rozporządzać mogli dziesięcią tysiącami ludzi, po różnych kraju stronach rozproszonych, po siedmiu miesiącach upartych wałk, wyszli zwycięzko z groźącego im niebezpieczeństwa, wzbogaceni mnogimi łupami, któremi zasiał drogi uciekający nieprzyjaciół, a między któremi znajdowały się namioty jednego z wezyrów.

W 1796 r. trzydziesto-tysięczna armia turecka, dowodzona przez Kara-Mahmud-paszę, wyginęła nieledwie ze szczeniem między skałami czarnogórskimi. Piętnaście sztandarów, mnóstwo drogocennej broni i trzy tysiące głów tureckich, pomiędzy któremi głowa samego Mahmuda, przyniesione zostały jako trofea do Cetynja.

Kiedy na początku bieżącego wieku Francuzi rozciągnęli wojenne swe działania aż w te strony oddalone, Czarnogórcy mieli odwagę w obronie niepodległości swojej stawić czoło potędze, przed którą najsilniejsze drżały wówczas państwa i po dwakroć zwycięzko spotkali się z jaśniejącymi sławą orłami cesarstwa. W 1808 r. odparli marszałka Marmonta, który kraj ich oparować usiłował; w 1813 zaś roku zdobyli Kotor i Budwę, przez francuzkie wojska zajmowane.

Oslabione zniesieniem janczarów siły Turcji, pozwoliły w bliższych nam czasach nieco swobodniej oddychać Czarnogórcom; wyprawy bowiem przeciwko nim przedsiębrane, jeśli niemniej częste jak przedtem, mniej groźne liczbą się stały. W 1853 przeciw roku, zagrożeni najprzód w siedzibach swych górale, odnieśli następnie zwycięztwo, które rozglosem ich imienia napełniło na czas jakiś Europę całą. Do trzynastu tysięcy regularnego wojska tureckiego, wspieranego przez mnogą rzeszę baszybuzuków, pobite zostało na głowę pod Grahowem, — tak iż zaledwie dwa lub trzy tysiące ludzi ujęć zdołało, ażeby świadczyć jak Czarnogórcy swobody swęj bronić umieją. Osm działy, tysiąc dwieście koni i trzysta namiotów dostały się w ręce zwycięzców.

Ważnym następstwem zwycięztwa odniesionego pod Grahowem było oznaczenie granic pomiędzy Turcją i Czarnogórcem przez kommissyą europejskich mocarstw, ograniczone tak terytoryum Czarnogóry

pod opieką zbiorową tychże mocarstw stawiające. Wzmocniło to znakomicie odporne stanowisko księstwa, nie dozwalając Turcji atakować go dowolnie w każdej chwili, jak poprzednio; nie ujęło mu zaś nic z rzeczywistej siły jego, polegającej na gorących sympatyach jednoplemiennych i jednowierczych mass w okolicznych prowincjach tureckich.

Obecne, przez kommissyą europejską uznane, terytoryum czarnogórskie zajmuje około siedmdziesięciu kwadratowych mil powierzchni. Od zachodu graniczy z należącym dziś do Austrii obwodem Kotoru, który je od brzegów morza wazkim, miejscami zaledwie miłą szerokości trzymającym, oddziela pasem. Od północy i zachodu otacza je prowincja turecka Hercegowina; od południa Albania. Z tęg ostatniej strony język słowiański sięga niedaleko już po za granice Czarnogórze, a zaczynają się siedziby najdzikszego z plemion Turcy europejską zamieszkujących: Arnautów, czyli Skipetarów.

Pod względem administracyjnym (jeżeli tego wyrażenia używać się tu godzi) Czarnogórze dzieli się na osm obwodów, z turecka *nachjami* zwanych. Cztery zachodnie nachje: Katuniska, Cerniczka, Rjeczka i Ljeszańska, stanowią Czarnogórze właściwe; cztery wschodnie: Bielopawliczka, Piperska, Moraczka i Kuczka, noszą zbiorową nazwę *Brda*, to jest wzgórze. Istotnie góry w tęg części kraju są mniej wysokie i niedostępne, niż w bliżej morza położonej stronie, i w porównaniu z tamtymi, wzgórzami nazwane być mogą, choć i tu nie brak na pojedynczych olbrzymich szczytach, kilka tysięcy stóp ponad powierzchnię morza strzelających. Najwyższym z nich na północno-wschodnim krańcu Czarnogórze jest góra *Durmitor* zwana; na zachodniej zaś granicy, nieopodal Kotoru, dzwiga się najwyższa bodaj w całym systemie gór tutejszych (Alp dynaryjskich) góra *Lowczen*, o której pieśń gminna śpiewa:

„Góra się wznosi nad górę —  
Lowczen ze wszystkich najwyższa.  
Na niej są lody i śniegi,  
Na niej pioruny i burze,  
Na niej Wil białych siedlisko...“

Ludności liczy Czarnogórze najwyżej do 425,000 głów obojga płci; wszystka wschodniego wyznania. Ludność ta żyje rozproszona po wsiach jedynie; miast bowiem w kraju całym nie masz zgoła. Najmniej zaś na nazwanie miasta zasługuje rezydencya władz krajowych, tylekroć w dziennikach wspomniane Cetynje (nie, jak zwykle piszą, Cetynia).

Rezydencya ta przedstawia tak szczególny, tak jedyny w Europie widok, że słusnie bardzo każdy podróżnik zadowolony z dalmackie brzegi, uważa za obowiązek własnymi oglądać ją oczyma — do czego niedalekie od Kotoru położenie tęg więcej zachęca i ośmiela.

Z miasta tego do stolicy czarnogórskiej nie masz jak sześć godzin pieszej drogi; niemniej jednak nie bez powodu powiedzieliśmy, że bliskość do odbycia jęg *ośmiela*. Aż do samej granicy, położonej mniej więcej o godzinę od Kotoru, prowadzi prawda przepyszny, w licznych skrętach na wysokość trzech tysięcy stóp prowadzący gościniec — przez Francuzów w czasie krótkiego panowania ich tutaj rozpoczęty, a przez obecnych posiadaczy Bokki ukończony; ale niestety! jest to niby łapka tylko, zastawiona na wędrowca, ażeby go odciągnąć od wygodnego w mieście spoczynku. Z rowem granicznym kończy się owa lekko pnąca się droga, a miejsce jęg zastępuje wąziutka, stroma, po najeżonej ostremi kantami opoce, ścieżka. Do tego bez niebezpieczeństwa życia, ale z prawdziwym pokaleczeniem i potluczeniem niebezpieczeństwem, przychodzi przeskakować nieraz z jednego na drugi po olbrzymich glazach, ścieżkę zagradzających. Oddającemu się tęg męczącej gimnastyce zachodniemu podróżnikowi, często przez usta wydziera się przekleństwo i pytanie: dlaczego Czarnogórcy tęg przynajmniej jednej do Kotoru, tak przez siebie uczęszczanej drogi, do cokolwiek ucywilizowanego nie doprowadzili stanu? Ale przewodnik czarnogórski odpowie na to głośnym błogosławieństwem niedostępności ścieżek swego kraju, która mu na nich tęg łatwiej pozwala odpięrać przemagające nieprzyjaciół wracających siły. Dzikość jest tutaj zasadniczym warunkiem niepodległości, i dopóki Czarnogórze pozostanie na obecnym politycznym stanowisku, europejscy turyści daremnie skarżyć się będą na niedogodność jego drożyn, lub rozwijać przed krajowcami wymownie korzyści cywilizacyjne i ekonomiczne dróg wygodnych.

W połowie mniej więcej drogi do Cetynja leży wieś ludna Niegosz, zkąd, jak wspomnieliśmy, poszła władająca długo rodzina Petrowiczów. Jak zwykle wsie czarnogórskie, nie jest to przeciw żadne po naszymu zabudowane sioło, lecz raczej zbiór rozproszonych po

przystępniejszych bokach skał domostw. Pierwszym domem jaki znuzony wędrowiec spotyka, jest czarna, dymna, ciemna wewnątrz karczma, gdzie do posiłku znaleźć może, prócz czerwonego i gęstego jak krew wina, sér, słoninę, a czasem i chleba kawał. Rozgaszczają się jednak pod tym gościnnym dachem, a tęg bardziej pod nim zanoćować, nikomu pewno nigdy nie przyszła ochota; w dotykającej bowiem do izby gościnnęj komorze leży zawsze kilka worów prochu i zapas znaczny ładunków, pomiędzy któremi gospodarz z największą flegmą paląc fajkę chodzi. Od dawnych czasów przemycą on już amunicyą, (której Austria zazdrośnie sprzedawać Czarnogórcom broni), z Kotoru, i prowadzi zyskowny ładunkami swęj fabryki handel. Że z nim razem dotąd w powietrze dziesięć razy już nie wyleciał, jest to jeden z tych niepojętych, a jednak nieraz praktykujących się cudów, jak naprzykład ten, na Polesiu naszym uważany, że wiejskie gumna nie gorą codziennie, pomimo wiecznie palących w nich łulki Poleszuków.

Dwie cerkiewki zdobią Niegosz. Są one małe i nie zalecają się żadną szczególnością; mają jednak na swych wieżyczkach harmonikę z dzwonów, która odzywając się co czas pewien, mile orzeźwia nerwy i umysł znuzonego dzikością otaczającej go przyrody wędrownika.

Rezydencya Cetynje leży w jedne z znaczniejszych, na parę godzin długości rozciągającej się dolinie. Z potrzeby nazywamy miejsce to pompatycznem mianem rezydencyi, rzeczywiscie bowiem trudno znaleźć inny wyraz na oznaczenie jego natury. Miastem żadną miarą nazwać go nie można, a i wsią nie jest także. Początkowo stał tu tylko sam klasztor tęg imienia, który z powodu obronności i położenia w niedostępnej dolinie, na siedzibę władcy obrany został. Zwolna wzniosła się przy nim niewielka ilość budynków, częścią na publiczny użytek przeznaczonych, częścią na mieszkania osób należących do otoczenia naczelnika, osób, których liczba, wraz z najświetszymi, za księcia Daniela dzwignionemi, dwudziestu nie przerosła. Otóż i cała stolica!

Zabudowania Cetynja tworzą dwie ulice, pod prostym przecinające się kątem. W miejscu gdzie się przecinają jest rodzaj rynku, czyli raczej placu, z ocienioną rozrastającym się nad nią drzewem studnią w pośrodku. Tu jest miejsce ulubione zabawy i przechadki dla nielicznych mieszkańców rezydencyi. Tu także wychodzą okna nowego, przez Daniela na pomieszczenie gości z Europy przybywających zbudowanego i stosownie do tego urządzonego hotelu, w którym jeśli nie znajdziesz wszystkich jakichbyś zapragnąć mógł wygod, za to o zachodzie słońca cieszyć się możesz z mieszkania swego widokiem, jakiegoby ci każdy artysta pozazdrościł. Plac napelnia się młodemi chłopcami, o atletycznej budowie, bronzowej cerze i śmiałych, wyrazistych rysach, rozpoczynającymi bawić się rzucaniem drewnianych okrągłaków, — którą to grą, jak widzimy z zachowanych rzezb, i młódz starożytnę Grecji rozwijała zręczność swą i siły. Młodzi ludzie dostojniejszych rodzin i Perjanici, to jest przybocznicy żołnierze księcia, w malowniczych, bogatych strojach i lśniące od ozdób broni, stają przyglądać się grze, rozprawiając poważnie i z zapalem o dawnych, nowych lub spodziwanych bitwach, co nie przeszkadza im weale wymienianiu ogniastych spojrzeń z dorodnemi dziewczętami, czerpiącymi w studni wodę i z klasyczną powagą niosącymi ją na głowach do domów. Głęb' obrazu zajmują na trawniku starsi wiekiem mężowie, z długimi czybukami w ustach, radzący z posagową powagą o losach ojczyzny, lub oddający się grze — niestety! do naszego lancknehta podobnej — co jednak w niczem ich powagi, ani malowniczości grupy nie odmienia. Dalej jeszcze kilka zbrojnych postaci, snujących się pustą i cichą ulicą — kilka kobiet na kamiennych progach domów z dziećmi siedzących... a poza tęg wszystkim, nieopodal, zewsząd majestatyczne, nagie, straszne góry, z szybującymi ponad ich wierzchołki orłami...

(Dokończenie nastąpi).

## OSTATNI FIGIEL BORUTY(\*).

W zakończeniu opisu psot, jakie Boruta szlachcie i włościanom okolicy łęczyckiej wyrządzał, w Nrze 430 Tygodnika Ilustrowanego powiedziano: że od czasu jak temu biesowi, na weselu u p. Kaliny, pan młody dwa palce odrabiał, nie wychodził on już wię-

(\*) Wyborną tęg gawędę, opartą na zdarzeniu prawdziwym, zawiadzamy jedemu z łaskawych naszych czytelników warszawskich, który nadesłał ją nam jako dopełnienie podania o Borucie. (Przyp. redak.)

céj z lochów łączyckiego zamku, i że teraz nie wodzi już kmiotków po topielach.

Ze Boruta już się teraz nie zjawia, to prawda; ale w aktach po-przecznych kryminalnych grodu łączyckiego są autentyczne dowody, że go bagatelna, nawet dla szlachcica, a cóż dopiero dla diabła, przygoda z zięciem Kaliny na krótko tylko w lochach zatrzymała, że wylizawszy się z rany, długo jeszcze hulął po bagnach i trzcinach Bzury, i że dopiero chłopka kłonica dokonała tego, czego szlachecka szabla zrobić nie zdołała.

Było to za rządu pruskiego. Łęczycę fortyfikowano; tysiące okolicznych chłopków codziennie pędzono do kopania szaniców i sypania wałów; siły ustawały, sprzężaj się niszczył, a kmiotki gorzko utyskiwali, nie szczędząc przybyszom przekleństw i szczerych życzeń, aby się Boruta z niemi popieścił.

Wieczorami powracali do wioski po za błotami położonych, a Boruta, jakby w spółce z Niemcami będący, przedzierzgał się: to w kozła wskakującego na wóz, to w bernardyna proszącego o przewiezienie przez kałużę, to w dzikiego, niby postrzelonego kaczora, który, zrywając się i zapadając co kilka kroków, wabił za sobą w chrapy, to przybierając liczne inne postacie, co wieczór, — tego w błocie znurzał, tamtemu konia zatopił, innego całą noc po topielach wodził, dopóki chłopkę, postrzegłszy zdradę biesa, nie odegnał go znakiem krzyża świętego, przed którym opętaniec jak oparzony uciekał, napelniając echem głośniego śmiechu odległe chrapy i trzęsawiska.

Nazajutrz, przy dalszej pracy w szanicach i na wałach, opowiadano sobie one przygody, których rzadko kto nie doznał.

Był wszakże Stacho, parobek z Topoli, kościelnej wsi po tamtej stronie błot względem Łęczycy o pół mili położonej, zawsze trzeźwy, znający dokładnie wszystkie twardsze drożyny na błotach i umiejący rozpoznawać je nawet w noc ciemną; ten nie miał jeszcze żadnego spotkania z Borutą, bo też zwykle, jadąc przez błota, odmawiał sobie półgłosem: „Pod Twoją obronę uciekamy się, Święta Boża Rodzicielko!“ i t. d.

Pewnego wieczora, zapóźniwszy się nieco i marząc o wczorajszej hulance na weselu brata, jakoś zamiast nabożnej pieśni, nucił chmiela, popędzając strudzone koniki...

Wtém nagle chrapnawszy, szkapy uskokowały w bok, i w jednej chwili Stacho, wywinawszy kozła w powietrze, upadł na drózkę, a konie grzęzną i szarpiają się w obocznym bagnisku.

Zrywa się Stacho, chce chwycić wypadłe z rąk lejce, a wtém tuż obok siebie słyszy przeciągłe: „he-he-he-he!“

Wzdrygnął się, bo... oczywiście śmiech to Boruty. Jakoż, o dziwo! przy jasnem świetle księżycy, który błyszczał jak rybie oko, obok kępy trzcinowej, tuż przy drodze, widzi czarny od stóp do głowy potwór, z wywiędłą, żółtawą twarzą; w szerokich ustach, z których wystaje kilka dwucalowych zębów, trzyma krótką fajeczkę; na głowie, zamiast czapki, duży nietoperz, ubrany był w aksamitny kaftan z wielkimi białemi guzami, w takiej majtki, u kolan białemi sprzączkami spięte; cieniutkie komarze nóżki odziane miał w czarne jedwabne pończochy i pantofle zdobne białemi sprzączkami; nakoniec już nie jeden, jak zwykle u biesów, ale dwa ogony: jeden jastrzębi spadał od stanu kaftana, drugi, jakby bawoli, wychodząc z pod pirożystego kapelusza, na plecach się wałęsał.

— W Imię Ojca i Syna! Czy ty bies Boruta? krzyknął Stacho, czerpnawszy odwagi w znaku krzyża świętego.

— Ja—ja! usłyszał odpowiedź.

Tak wyraźne przyznanie, żadnej już nie pozostawiało wątpliwości. Chwyta więc Stacho za kłonicę z przewróconego wozu, i silnym uderzeniem w czerp biesa, powala go w błoto, które przysnęło na wszystkie strony.

Wzrasnęło spłoszone dzikie ptastwo, czarny nietoperz wyskoczył do góry, pogoniły za nim małe nietoperze, i upadł opodal.

Po tém zwycięstwie, mówiąc: Pod Twoją obronę, odprzągnął Stach splecione konie, ułatwił im wydobycie się z błota, podniósł przewrócony wóz, założył znowu konie, i nie oglądając się, podążył do Topoli.

W oknach karczmy jasno, migają się tancerze, bo u Mazurów wesele trzy dni trwać zwykło. Nieobecność Stacha, starszego drużby, zwróciła uwagę; gdy się więc we drzwiach ukazał, sypnęły się nań wymówki i zapytania o powód tak późnego przybycia.

— Miałem ci ja taniec, odrzeczł Stacho, na błotach z Borutą; alem z niego przecie, dzięki Matce Najświętszej, nietylko sam cało wyszedł, lecz jeszcze i tego przekłętę biesa na wieki uśmiercił.

— Co ty znowu bajesz? Biesas uśmiercił? Alboż to ta-

ka łatwa z nim sprawa? A ileż to on już szlachty, choć zbrojnej, w bagnach natopił? Cóż ty mogłeś z nim począć? Możesz mu biczem łeb uciąć, jak wróblowi na konopiach? Oj! zuchujesz, boś go jeszcze nie spotkał. Ale przyjdzie kréska i na Matyska, a ze strachu sto razy pacierz zaczniesz, a nigdy go nie skończysz.

— Baj baj! A ja wam zaręczam, że Borutę tak kłonicą w łeb uczęstowałem, że już więcej nikogo kusić nie będzie. Leży tam pod trzcina, łeb ugrzązł w chrapie, a jeno indycyzy ogon i nogi na wierzchu zostały.

Tu Stacho opowiedział całą przygodę. Jedni niedowierzali, a inni twierdzili, że chociażby i w kawalki biesi czerep się rozleciał, to się napowrót zrośnie, bies ożyje i jeszcze bardziej będzie dopiekał. Ten argument trafił do przekonania wszystkich, a nawet Stacho zdawał się nim być bardzo zakłopotany. Wszyscy niecierpliwie oczekiwali dnia, aby udając się znowu do robót szaniców, mogli się naocznie o stanie rzeczy przekonać.

Nazajutrz prawie cała wieś wybrała się ku Łęczycy, odważniejsi na czele, a między niemi Stacho. Serce mu biło z obawy, czy tylko diabeł nie ożył. Przewadził gromadę krętymi drózkami, wymijając trzęsawiska i topiele. Każdy pocichu odmawia pacierz.

Nagle cofając się krzyknął Kuba:

— Jezus! Maryal Józef!

Wszyscy jak fala cofnęli się kilka kroków, nie jednak nie widząc. Po chwili, gdy żadne niebezpieczeństwo nie groziło, pytają się Kuby czy co widzi. Ten wskazał tylko szpadlem, który trzymał w ręku, na krzak rokitnicy.

Wzdrygnęli się wszyscy, dostrzegłszy w pośród gałęzi czarne jakieś skrzydlate straszidło. Obchodzą krzak zdaleka i Stacho poznał nietoperza, który za kapelusze Borucie służył; jedno tylko skrzydło, zapewne kłonicą przetrącone, wisiało obok na małej żyłce. Z kierunku w którym wczoraj wyskoczył ów nietoperz, wniósł Stacho, że i sam Boruta za kępą trzcinową którą przed sobą widzieli leżeć musi.

Nie śmiać dotknąć zakłętę czarcego ubrania i omijając je zdaleka, szli dalej, a gdy jeszcze byli ze sto kroków od drugiego krańca kępy, Stacho wszedł na spory pień suchej wierzby i wpatrzywszy się:

— Nie ożył! leży! zawołał z radością, chociaż nie bez pewnej obawy.

Zatrzymała się znowu gromada, wchodząc kolejno na pień, z którego Stacho pokazywał im wystające z bagna lśniącej czarności diabła nogi i ptasi ogon.

Uradowani że Boruta nie daje żadnych znaków życia i wieszając Stachowi tak świetnego czynu, poszli dalej ku Łęczycy, zawsze jednak omijając z daleka potępienia i ciągle oglądając się, z obawy czy się nie zataił, aby niespodzianie na wszystkich zemstę swoje wyrzucił.

Przy pracy w szanicach, właśnie gdy wieść o walecznym czynie Stacha i wyzwoleniu okolicy od Boruty obiegła dokoła, dozorecy, przy pomocy tłumaczy, wypytywali się chłopków, czy nie spotkali gdzie w przeprowie przez błota pana Regierungsratha, który wyszedłszy wczoraj po południu w celu rozpoznania miejscowości, dla zaprojektowania rowów i budowy grobli, zapewne gdzie uwiązał, gdyż dotąd nie wrócił i przez służbę nie został wynaleziony.

Naturalnie wszyscy odpowiadali, że poszukiwanej osoby nie widzieli, a niektórzy dodali, że jeżeli tego pana spotkał Boruta, nim zginął z ręki Stacha, to niezawodnie ten bies przyprawił go o jakie nieszczęście.

Wzmianka o Borucie, o zabiciu go wczoraj wieczorem przez Stacha, dała powód do dalszych pytań z jednej, a objaśnień z drugiej strony. Posłano służbę z kilką chłopkami, którzy z pnia wierzbowego zabitego Borutę widzieli, na błota, a tymczasem Stacho, nie wiedząc o tém, ściśle był strzeżonym.

W godzinę powrócił jeden z wysłanych służących, mówił coś po niemiecku z oficerem kierującym robotami, i zaraz potem, wśród zdziwienia i oburzenia wieśniaków, Stacho zaprowadzony został pod strażą do więzienia, w zarzucie morderstwa dokonanego na osobie Regierungsratha.

Świeże wówczas zajęcie kraju przez Prusaków i nienawieć jaką dla nich pałała ludność polska, a więc jeszcze podszepty złych ludzi, nasuwały władzom myśl, że to było morderstwo polityczne, że Stacho popełnił je przy współnictwie jednych, a z wiadomością innych włóścian wsi Topoli, lub może i wszystkich okolicznych kmiotków do robót w szanicach używanych. Doradzono więc, aby surowym i summarcznym wyrokiem świeżą zbrodnię ukarać, i dalszym zapobiedz.

I staloby się tak może, gdyby prawodawstwo pruskie nie posiadało porządnego kodeksów kar kryminalnych, cywilnych i wojennych, jak również odpowie-

dnich kodeksów postępowania, i gdyby ściśle stosowanie się do nich nie było przez wyższe i najwyższe władze surowo zalecanem i pilnowanem.

Temu to prawodawstwu winni byli Stacho i drudzy kmicie, że ich nie oddano pod sąd wojenny, ale pod kryminalno-cywilny; że w tej ostatniej drodze słuchano protokularnie, pod przysięgą, i konfrontowano licznych świadków, żadnemu wyłączeniu nie ulegających; że legendę o Borucie, której władze pruskie nie znały i za świeżo z potrzeby wymyśloną z razu poczytywały, studyowano wszechstronnie i osiągnięto przekonanie, że o istnieniu Boruty, o mieszkaniu jego w podziemiach, które od zamku łączyckiego aż do tumu, wedle miejscowych podań, prowadzić mają; o jego licznych psotach jakie w okolicy a szczególnie na błotach płałał, o przybraniu przez niego różnych postaci, lud najmocniej i w dobrej wierze był przekonany; wreszcie że postępowanie Stacha było zawsze moralne i bogobojne.

Te wszystkie powody i okoliczności zważywszy, prześwietny łączycki Criminal-Gericht, wyrokiem swym, który w aktach z owej epoki dotąd podobno się znajduje, wyrzekł:

Ze Stacha w zarzucie rozmyślnego morderstwa na osobie łączyckiego Regierungsratha jego królewskiej mości króla pruskiego, a kmiotków w zarzucie współnictwa i jakiegokolwiek udziału w tej zbrodni, w zupełności za niewinnych uznaje; niemniej, że samego tylko Stacha, za zabójstwo tegoż Regierungsratha, bez złego zamiaru i przy wszelkich okolicznościach winę tę łagodzących dokonane, na karę kilkotygodniowego aresztu skazuje.

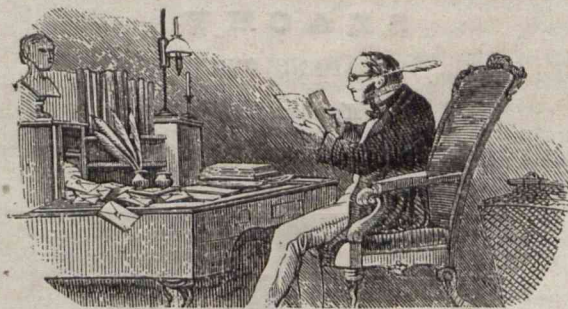
Następnie, w skutek tegoż wyroku, aby na przyszłość niewiadomością nikt się zasłaniać nie mógł, przez cyrkularze wójtów i burmistrzów, oraz po kościołach z ambon i przez rozlepione na drzwiach władz i na rogach ulic ogłoszenia, lud był informowany: że osoby w stroju czarnym, niekrajowym, w aksamitnych z metalowemi jasnemi guzami kaftanach, również aksamitnych do kolan majtkach, czarnych jedwabnych pończochach i pantoflach z sprzączkami, nie są bynajmniej diabłami, Borutami, biesami, lub innego rodzaju złemi duchami, lecz urzędnikami.

Ze ludzie ci nie noszą na głowie nietoperzy, ale stosowane, trzyżadne, spłaszczone kapelusze.

Ze również nie są oni dwuogonowemi, ale że to, co za ptasi ogon poczytywano, są to poly od kaftana, a to co się na plecach wałęsa, jest to narodowy niemiecki harcab.

Ze więc zaleca się dla nich wszelki szacunek i poważanie.

Miało jednak sądownictwo pruskie tę wadę, iż postępowanie i obrona nie były publiczne; i Stacho więc i lud pozostali w przekonaniu, że urzędnik nie mógł przecież być kubek w kubek podobnym do Boruty, że urzędnika mógł istotnie Boruta uduścić, a zaś Stacho niezawodnie Borutę uśmiercił. I od tej to epoki, w której właśnie błota rowami osuszać i groble robić poczęto, bies ten nigdy się już nie zjawia. K.



Panu Józefowi Sobocie. Trudno zrozumieć o co właściwie panu idzie. Nie powstawałiśmy nigdy przeciw polskiemu niwastom; owszem chętnie zawsze nieśliśmy im hołd i uznanie. Krytyki sukien zamiatających błoto na ulicach, nikt pewnie za ubliżenie kobietom uważać nie zechce; całe więc to kruszenie kopii w obronie płci pięknej, uważać musimy za walkę z wiatrakami.

Panu A. W. w Warszawie. Z dwóch nadesłanych wierszy jeden drukowanym nie będzie; drugi p. n. „Dwa słowa“ wkrótce zapewne umieścimy.

## KORRESPONDENCA TYGODNIKA ILLUSTROWANEGO.

Suwałki, dnia 22 kwietnia 1862 r.

Kwesta wielko-tygodniowa.—Ludność i fabryki.—Szkółki — Projektowane stypendyum wieceznie imienia s. p. Klementyny z Tańskich Hofmanowej.

Z obchodem świętej pamiątki Zmartwychwstania Pańskiego, skwapliwie połączyli mieszkańcy Suwałk czyn miłosierdzia, bo kwesta wielkotygodniowa, przez pannie dobroczynne w tutejszym kościele parafialnym

rzymsko-katolickim na korzyść szpitala świętego Piotra i Pawła i sali ochrony oraz osób wstydzących się zebrać zbierana, przyniosła kwotę złp. sześćset kilkanaście, która w porównaniu lat poprzednich i w miarę zamożności miasta jest znaczną. Tu wspomnieć należy, iż gdy w początku wielkiego postu odezwała się rada o składkę na szpital w pieniądzech, wiktuałach, płótnie, szarpfach, i t. p., mającą zastąpić zwykły dochód dawniejszy z zabaw, koncertów, teatrów, odezwała również nie została bez skutku. Świadczy to o uczuciach dobroczynnych miasta, które chętnie dzieli się z biednymi; świadczy iż nie zapomina my słów ewangelicznych o miłosierdziu, najpiękniejszej perle chrystyanizmu: „kto daje tym małuczki, mnie daje.“ Droga Chrystusa usłaną była cierpieniem i miłością. Błogosławieni miłosierni!

Oprócz szpitala i ochronki istniejących w Suwałkach, spodziewane jest tu niezadługo urządzenie domu parafialnego schronienia dla starców i kalek, których to domów, tyle pożądanego, mamy dotąd tylko trzy w gubernii augustowskiej, mianowicie: w Kęczynie (powiat łomżyński), w Krasnopolu i Kopciowie (powiat sejneński), a których liczba, po wydobyciu funduszków po dawnych szpitalach kościelnych i przy pomocy dobroczynności miejscowej, może i powinnaby się powiększyć.

A teraz słów kilka o cyfrze ludności tutejszego miasta i innych gubernii naszej, o fabrykach, szkołkach i t. d.

Stała ludność miasta Suwałk w r. 1861 wynosiła głów 13,547 (w tej liczbie starozakonnych 8,357). Taż ludność w r. 1860 wynosiła 12,573, w r. 1817, epoce przeniesienia tu stolicy województwa z Łomży, 2,060, w r. 1812 4,142, w r. 1807 763. Domów w Suwałkach w roku zeszłym było: murowanych 175, drewnianych 932. Ludność miast powiatowych w r. 1861 była następująca: w Augustowie 8,626 (staroz. 3,865) w Łomży 6,072 (staroz. 2,075), w Sejnach 3,540 (staroz. 2,705), w Kalwarii 8,470 (staroz. 6,699), w Maryampolu 3,977 (staroz. 3,201). Ludność zaś innych miast znaczniejszych: Władysławowa 5,844, Wylkowszek 5,694, Tykocina 4,913.

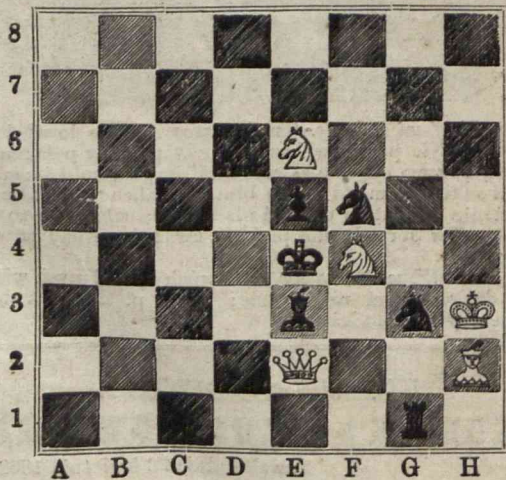
**SZACHY.**

**ZADANIE CVII.**

(J. Kohn we Lwowie).

Białe zaczynają i dają mata za czwartym posunięciem.

Czarne.



Białe.

Znaczenie rebusa umieszczonego w Nr. 135.

Wyjeżdżacie za granicę, rozrzucacie pieniądze, a w domu grosz za groszem goni.

Ludność ogólna miejska i wiejska gubernii augustowskiej w r. 1861 wynosiła 646,446; w latach poprzednich r. 1860 636,534, r. 1857 618,894, r. 1820 444,589, r. 1809 (za b. departamentu łomżyńskiego) 408,502.

Z fabryk w Augustowskiem do dawniejszych przybyły w r. 1861: fabryka dywanów w Łomży i amerykański młyn parowy we wsi Kotowszczyzna (powiat kalwaryjski). Byłoby rzeczą pożądaną, aby upadające zakłady narzędzi rolniczych i wyrobów żelaznych w Sztabinie (powiat augustowski) dzwignąć się

lek i dziełek polskich, są właśnie Suwałki. Podany przez K. M. w Nrze 254 Gazety Polskiej z r. 1861 projekt uczenia ś. p. Hofmanowej przez utworzenie funduszu wieczystego dla kilku stypendystek, znalazł echo w kraju i za jego granicami, bo zewsząd: z pod Kalisza, Krakowa, Mohilewa, Tambowa i t. d. zaczęły napływać i nie ustają na ten cel ofiary. Niechby i głos obecny stał się przypomnieniem dla rodaków i rodaczek, aby ów piękny zamiar niezadługo pomysłny uwieńczył skutek.

J. W.



TABLICA EREKCYJNA W CHOTLU CZERWONYM. (Rysował z natury Lewicki).

**TABLICA EREKCYJNA W CHOTLU CZERWONYM.**

W okolicy Buska są dwie wsie niedaleko od siebie położone, noszące nazwę jedna Chotel Czerwony, a druga Zielony. Podanie utrzymuje iż nazwę tę otrzymały od swoich kościołów, mających dachy w jednej czerwono, w drugiej zielono pomalowane. Z tych pierwsza, własność niegdyś kapituły kolegiaty wislickiej, dziś rządowa, posiada starożytny kościół, wystawiony w r. 1440 przez Jana Długosza, ojca naszych historyków, kiedy ten był kustoszem kolegiaty wislickiej. Gotycka ta budowla z ciosu, małych ale przyjemnych wymiarów, na wyniosłym gipsowem wzgórzu wzniesiona, dachem swoim sterczy nad całym powiatem i szare swoje ściany szesnastu innym ukazuje kościołom. Najciekawszym szczegółem tej świątyni jest pierwotna erekcyjna tablica, z piaskowego kamienia wykuta i nade drzwiami bocznymi w kruchcie zamieszczona. Wyobraża ona w płaskorzeźbie patronów miejscowych, to jest Bogarodzącę, a obok niej świętych: Stefana króla i Hieronima ojca kościoła. Napis dokoła tej tablicy scholastycznymi głoskami wypukło wyrobiony w skróceniu, jest następujący: Anno Domini MCCCCL (1450) ad honorem Omnipotentis Dei et Beate Mariae Virginis, Sanctorum Stephani regis et Jeronimi confessoris haec ecclesia est fabricata. Rzeźba ta powleczona jest całą olejnymi farbami, przed napisem zaś widać małą główkę w koronie, której znaczenie trudno odgadnąć.

mogły. Toż samo powiedzieć można i o fabryce płócien w Dobrowoli (powiat maryampolski). Zasługuje także na uwagę przedsiębiorców ogłoszenie podane w Dzienniku Powszechnym z dnia 10 kwietnia r. b., że zamiarem jest rządu, w celu upożytecznienia wód kanału augustowskiego, wydzierżawić używalność spadków przy niektórych szluzach czyli upustach tegoż kanału (Niemnowo, Dąbrówka, Sosnówka, Białobrzegi), które jako motory mogą posługiwać dla zakładów fabrycznych i t. samem wpłynąć na rozwój przemysłu fabrycznego w tej części kraju, położonej między dwiema liniami kolei żelaznych, warszawsko-petersburskiej i wileńsko-królewieckiej.

W Nrze 46 Gazety Polskiej z r. b., ktoś z przejeżdżających przez powiat kalwaryjski, donosząc o zasłudze osób niektórych w przedsięwzięciu utworzeniu szkółek elementarnych, wyraża się w ogólności, iż „na Litwie naród w grubszej daleko niż gdzieindziej zostaje ciemności i gwałtem prawie odpycha oświatę,“ i że „przekonać o potrzebie oświaty kilkuset gospodarzy ciemnych i niedowierzających, niemałą jest rzeczą“ i t. d. Nie potrzebujemy dowodzić, jak pobieżne i nieprawdziwe są te słowa w przelocie rzucone; boć wiadomo powszechnie iż właśnie między ludem na Litwie augustowskiej i żmudzkiej od lat wielu widoczne było i jest zamiłowanie do nauki czytania i dalszej oświaty. Dość tutaj gdziekolwiek być w kościele, a stosunkowo jeżeli nie więcej ujrzy się czytających na książce, to pewno nie mniej niż w innych stronach kraju. Wiadomo także iż z pomiędzy zamożnych włościan na Litwie, wielu mamy księży i ludzi ukształconych, którzy nawet na roli w siermiędze pracować umysłowo nie przestają; takim jest na przykład autor podpisujący się: *Chłop z Maryampolskiego*.

Prawda że strony augustowskie (ale nietylko powiaty litewskie) dotąd nie mogą pochwalić się takim jak gdzieindziej popędem do zakładania szkółek wiejskich, lecz stopniowo i my podążamy w tym względzie za innymi okolicami kraju.

Na zakończenie tej korespondencji miło mi nadmienić, że miejscem zkąd wyszła pierwsza myśl utworzenia stypendyumu pomnikowego imienia Klementyny z Tańskich Hofmanowej, czcigodnej nauczycielki Po-

mieszczona. Wyobraża ona w płaskorzeźbie patronów miejscowych, to jest Bogarodzącę, a obok niej świętych: Stefana króla i Hieronima ojca kościoła. Napis dokoła tej tablicy scholastycznymi głoskami wypukło wyrobiony w skróceniu, jest następujący: Anno Domini MCCCCL (1450) ad honorem Omnipotentis Dei et Beate Mariae Virginis, Sanctorum Stephani regis et Jeronimi confessoris haec ecclesia est fabricata. Rzeźba ta powleczona jest całą olejnymi farbami, przed napisem zaś widać małą główkę w koronie, której znaczenie trudno odgadnąć.

**REBUS.**

**TO**

